

Zły sen i dobrzy kochankowie

Nech to diabli. Zdaje się, że dopóki nie wymrze obecne pokolenie naszych reżyserów, nie zobaczymy już w Polsce przywołicie wystawionego „Snu nocy letniej” Szekspira. Nad piękną tą sztuką zawisła jak czarna chmura jej „nowoczesna” interpretacja Jana Kotta, wyrażona w jego szkicu „Tytania i głowa osła”, która uporcie straszy kolejnych inscenizatorów, a ci z kolei straszą nią publiczność. Zamiast „uroczej komedii” (Boy), czy „szekspirowskiej bajki” (Stonimski) oglądamy więc, w możliwie najbardziej ponurej dekoracji, inspirowane Kottem (i koszmarami Goyi) sceny pełne brutalności, wrzasku i zwykłego chamstwa, wprowadzani też jesteśmy w rzekomą „ciemną zonę animalnej erotyki”. Obawiam się, że tak jak niegdyś Kott na całe lata „zalatwił” nam Conrada, tak teraz zalatwił nam Szekspira, a w każdym razie „Sen nocy letniej”. Czy znajdzie się choć jeden reżyser, który potrafi spojrzeć na tę komedię inaczej?

Po obejrzeniu „Snu” w inscenizacji Macieja Wojtyzki w Teatrze Powszechnym w Warszawie myślałem, że może Rudolf Ziolo w naszym Starym Teatrze pokaże wreszcie komedię, a nie koszmar. Niestety. Wprawdzie Puk krakowski nie zmienił się — jak u Wojtyzki — w trzech półnagich drabów, ale umazany na czarno i również półnagi Krzysztof Globisz także nie przypominał „Robina Dobrego Koleżki” (Robin Goodfellow), jakim u Szekspira jest przecież ten wesoly duszek. Znakomita skądinąd para: Monika Niemczyk (Tytania) i Jan Peszek (Oberon) też nie mogła zachowywać w ramach ogólnej „koncepcji” spektaklu, a Tezeusz i Hipolita (Ryszard Łukowski i Agnieszka Mandat) byli w ogóle przykrym nieparozumieniem, podobnie jak obie pary kochanków, wyznaczające niebywałe akrobacje, choć na Dorotę Segdę warto było przynajmniej spojrzeć. Sytuację ratowała trochę grupa ateńskich rzemieślników. Ale na dobrą sprawę powinno się było wyjść z teatru już zaraz po tym, jak na początku przedstawienia przez scenę przewędrował szereg kalek (no, bo Tezeusz „zdobył Hipolitę mieczem”, więc oczywiście trzeba było pokazać, że była wojna).

I jeszcze jedno: fatalną przysługę oddał Barańczakowi ktoś (pewnie także reżyser?), kto wpadł na pomysł, żeby w jego przekładzie umieścić fragmenty przekładu Gałczyńskiego. Różnice (na korzyść Gałczyńskiego) są dostrzegalne gołym okiem, a raczej dosłyszalne gołym uchem.

Już nazajutrz po tym złym śnie (istotnie, przysnił mi się Ziolo z głową Kotta) oglądałem prawdziwego Szekspira. W Teatrze Ludowym w Nowej Hucie Krzysztof Orzechowski pokazał nam „Romea i Julię”, tragedię, do któ-

rej Kott dotychczas się nie dobrał. Za to Orzechowski dobrał się do niej z kulturą i taktem. W tym przedstawieniu nawet przekład Barańczaka brzmiał poetycko. I aktorzy jakby trochę mniej wrzeszczeli, zamiast grać. Mniej się też gimnastykowali, choć oglądaliśmy kilka pojedynków i nawet Ojciec Laurenty wraz z Romeem tarzali się przez chwile po podłodze, a dzielny franciszkanin poszturchiwał trochę nieszczęsnego Montecchi. Tata Capuletti także położył się raz na własnej córce, co zresztą — w danej sytuacji — nie wydało mi się niczym szczególnie zdrożnym. Tego rodzaju „plastyki ruchu scenicznego” zapewne już w „nowoczesnym” teatrze nie unikniemy, choć Orzechowski — w przeciwieństwie do Ziola — bardzo się pod tym względem opanowywał.

W tym przedstawieniu zademonstrowano wreszcie publiczności wielki pomysł dyr. Fedorowicza: Julię — amatorkę w teatrze zawodowym. (Jak wiadomo, zanim wymyślono szkoły aktorskie, we wszystkich teatrach „zawodowych” grali wyłącznie „amatorzy”). Tak więc zobaczyliśmy pannę Dominikę Bednarczyk, studentkę I roku prawa UJ w roli Julii. Ta dziesiętnastoletka grała „jak stara”. Ale z młodzieńczym zapalem i wdziękiem. Dobrze też mówiła tekst, co dzisiaj nie każdy „zawodowiec” potrafi. Chyba przeniesie się z prawa na PWST. I może jej tam nie zepsują, ani nie przewrócą w głowie. Szkoda byłoby dziewczyny. (Nawiasem mówiąc, poznałem też — już prywatnie — drugą Julię, wybraną w głośnym konkursie rozpisany przez dyr. Fedorowicza: szesnastoletnią pannę Ewę Łacny, która chwilowo gra w skróconej wersji tragedii, obsadzonej przez nowohuckich skinów i punków (!). Ale sama jest dziewczyną spokojną, skromną, śliczną i także pełną wdzięku. I oczywiście — również utalentowaną.)

Nowohuckie przedstawienie „Romea i Julii” z pewnością godne jest obejrzenia. Na tle wszystkich zabiegów, jakim nasi reżyserzy poddają biednego Szekspira, ten spektakl wyróżnia się przede wszystkim — jak wspomniałem — kulturą i taktem, a to już bardzo wiele. Orzechowski po prostu pozwala nam słuchać Szekspira w należnym skupieniu, nie zakłócanym reżyserскими „pomysłami”. W dyskretniej scenografii Elżbiety Krywskiej, przy jak zawsze świetnej — i również dyskretniej — muzyce Stanisława Radwana, rozgrywa spektakl, który nie przynosi specjalnych artystycznych rewelacji, ale też nie denerwuje i nie drażni widza. Teatr w Nowej Hucie, dziś niewątpliwie najciekawszy teatr Krakowa, pozwolił mi ponadto przeżyć raz jeszcze wspomnienie Weronii.